Randall Garrett

Człowiek, który nienawidził Marsa

(The Man Who Hated Mars)

Amazing Stories, September 1956.

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

Aby uciec z Marsa, Clayton musiałby dokonać niemożliwego. Wyrwać się z zabezpieczonego przed ucieczkami obozu dla wygnańców, dostać się na pokład statku, na który nie wolno mu było wsiąść, przebić się przez niemożliwą do pokonania stalową ścianę. Być może zdołałby tego wszystkiego dokonać, ale odkrył, że Mars robi z ludźmi straszne rzeczy. Nigdy potem nie był już sobą – Claytonem. Był tylko…

– Chcę, żeby wsadzono mnie do więzienia! – powiedział drżącym głosem potężny, mocno owłosiony mężczyzna.

Swoje żądanie skierował do drobnej, szczupłej kobiety, siedzącej za biurkiem, które wydawało się, dla niej o wiele za duże. Stojąca na rogu blatu plakietka, głosiła:

POR. PHOEBE HARRIS
ZIEMSKA SŁUŻBA REHABILITACYJNA

Porucznik Harris poświęciła jedynie krótką chwilę na zmierzenie wzrokiem stojącego przed nią mężczyzny, i niemal natychmiast skierowała oczy na leżące na biurku akta. To co zobaczyła zupełnie jej jednak wystarczyło, do potwierdzenia pierwszego wrażenia, jakie wywarł na niej jego głos. Ron Clayton był wielkim, paskudnym, tchórzliwym i niebezpiecznym człowiekiem.

Po chwili dodał:

– No i co? Do diabła, proszę coś powiedzieć!

Porucznik ponownie uniosła wzrok.

– A ja proszę, abyś cierpliwie poczekał, aż przeczytam to do końca. – Jej głos i oczy nie zdradzały zupełnie niczego, ale ręka pod biurkiem wyraźnie się poruszyła.

Clayton zamarł w bezruchu. *Spietrała się!* Pomyślał. *Włączyła układy śledzące*! Zdawało mu się, że widzi bladozieloną poświatę małych, jasnych oczu, obserwujących go czujnie ze wszystkich kątów pomieszczenia. Jeśli tylko spróbuje wykonać jakiś bardziej gwałtowny ruch, zostanie zwalony z nóg przy pomocy promienia paraliżującego, zanim zdoła pokonać dwie stopy.

Pomyślała sobie, że chce się na nią rzucić. *Mała suka*! Oburzył się. *Ktoś powinien naprawdę solidnie jej dołożyć*!

Obserwował ją, jak przegląda leżące przed nią grube akta. W końcu znów spojrzała na niego.

– Clayton, twój ostatni wyrok dotyczył rabunku z użyciem przemocy. Miałeś wybór pomiędzy więzieniem na Ziemi i wolnością tutaj, na Marsie. Zdecydowałeś się na Marsa.

Powoli skinął potwierdzająco głową. Był wtedy kompletnie załamany i głodny. Taki jeden śmierdzący, mały szczur, o nazwisku Johnson wyrolował Claytona, okradając go z uczciwie zarobionych pieniędzy za robotę u Coreya, no i Clayton musiał przecież w jakiś sposób wydobyć od niego całą tę forsę. Naprawdę nie miał zamiaru gościa jakoś specjalnie uszkodzić, a poza tym w końcu, to była wina tej pijawki. Gdyby tylko nie próbował wrzeszczeć…

Porucznik Harris mówiła dalej:

– Niestety, teraz już nie możesz się wycofać.

– Ale to jawna niesprawiedliwość! Za to kłamliwe oskarżenie dostałbym najwyżej dziesięć lat. Jestem tutaj już od piętnastu!

– Przykro mi, Clayton. Tego już nie da się już cofnąć. Jesteś tutaj. Kropka. Zapomnij o próbach powrotu. Ziemia cię nie chce. – Jej głos był lekko stłumiony, tak jakby próbowała ze wszystkich sił zachować spokój.

Clayton wpadł w płaczliwą, rozżaloną wściekłość.

– Nie może mi pani tego zrobić! To nie fair! Niczego przecież pani nie zrobiłem! Pójdę poskarżyć się Gubernatorowi! On posłucha głosu rozsądku! Zobaczy pani jeszcze! Ja…

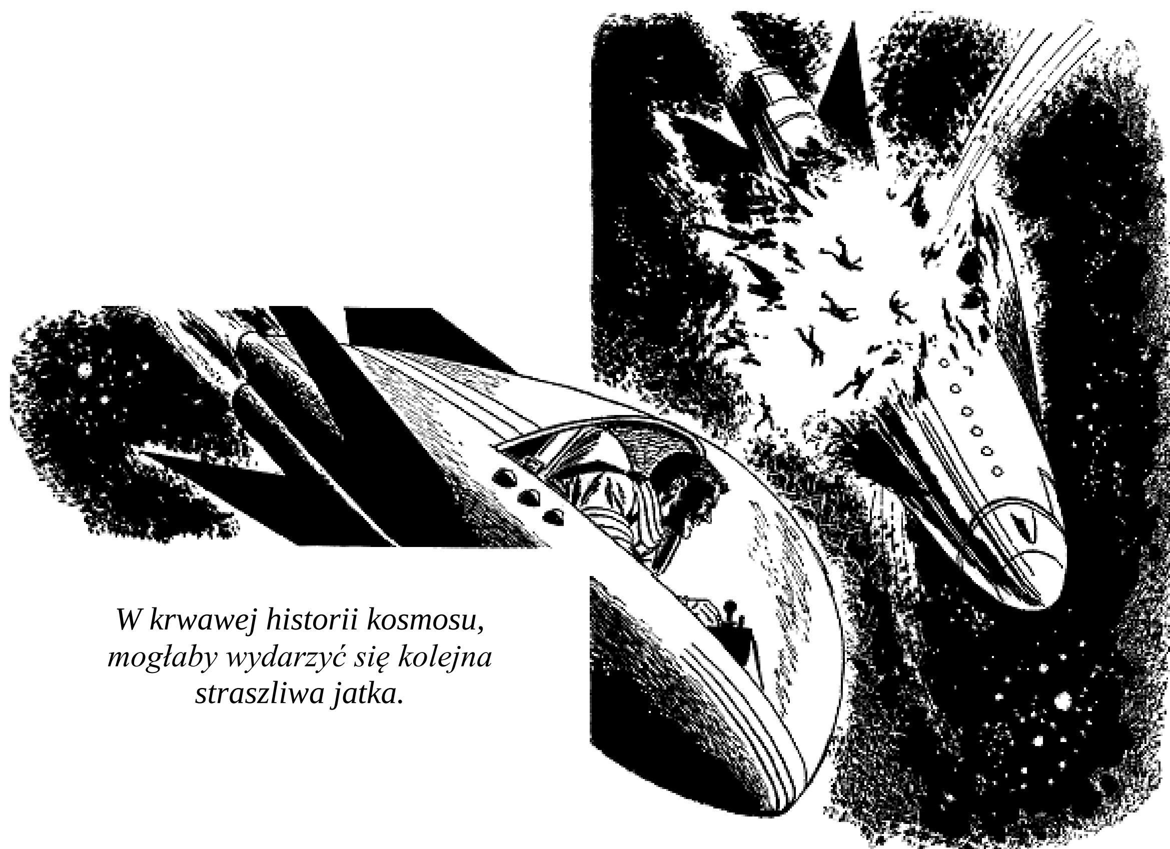
– Zamknij się! – kobieta warknęła szorstko. – Rzygać mi się już od tego chce! Osobiście, myślę że powinno się ciebie zamknąć — na stałe. Moim zdaniem ten pomysł wymuszonej kolonizacji, pewnego dnia odbije się Ziemi solidną czkawką, ale to chyba jedyny sposób znalezienia jakichś ludzi chętnych do przylotu na tę zamarzniętą kupę błota.

– I wbij sobie do tego kapuścianego łba, że mnie nie podoba się tu wcale bardziej niż tobie, *a ja nie obrabowałam nikogo, żebym sobie zasłużyła na ten przydział*! A teraz wynocha stąd!

Groźnym ruchem przesunęła dłoń w kierunku przyrządów ręcznego sterowania promieniami paraliżującymi.

Clayton pośpiesznie się wycofał. Układy śledzące ignorowały tych, którzy odsuwali się od biurka. Ustawione były jedynie na detekcję groźnych ruchów w przeciwną stronę.

Po wyjściu z budynku Służby Rehabilitacji, Clayton poczuł jak pod maską na twarzy po policzkach spływają mu łzy. W czasie minionych piętnastu lat, prosił raz, drugi i trzeci — jeden Bóg wie tylko ile razy. Odpowiedź zawsze była taka sama. Nie.



W krwawej historii kosmosu, mogłaby wydarzyć się kolejna straszliwa jatka.

Kiedy dowiedział się, że nowym administratorem została kobieta, miał nadzieję, że może ją będzie łatwiej mu przekonać. Niestety, okazało się inaczej. Prawdę mówiąc, była chyba jeszcze twardsza niż poprzednicy.

Wysysające z organizmu ostatnie resztki ciepła, lodowato mroźne i rzadkie powietrze Marsa szumiało wokoło słabiutkim wietrzykiem. Wzdrygnął się lekko i powoli ruszył w stronę centrum rekreacyjnego.

Gdzieś wysoko na niebie, rozległ się cichy świst, który wkrótce przerodził się w wycie rzadkiej atmosfery.

Na chwilę przystanął, przyglądając się lądującemu statkowi i mrużąc oczy, tak by dostrzec numer na kadłubie.

Pięćdziesiąt dwa. Kosmiczny Statek Transportowy numer Pięćdziesiąt Dwa.

Prawdopodobnie miał na pokładzie kolejny ładunek biednych frajerów, chętnych do zamarznięcia na śmierć na Marsie.

To chyba właśnie tego, najbardziej nienawidził w Marsie. Zimna. Wszechobecnego przeklętego zimna! I tabletek natleniających. Musisz wziąć jedną, co każde trzy godziny, inaczej udusisz się w ubogim w tlen, rzadkim powietrzu Marsa.

Rząd mógłby zbudować kopuły, a przynajmniej mogliby wprowadzić tunele łączące poszczególne budynki. Można było zrobić cholernie dużo rzeczy, czyniących z Marsa znacznie przyjemniejsze miejsce dla istot ludzkich.

Ale nie — rząd miał zupełnie inne koncepcje. Banda najważniejszych osobników ze środowisk naukowych, wpadła na ten pomysł już niemal dwadzieścia lat temu. Clayton ciągle jeszcze pamiętał słowa wypisane na świstku papieru, który otrzymał po zakończeniu rozprawy.

„Ludzie z natury są zwierzętami adaptującymi się. Jeśli mamy skolonizować planety należące do Systemu Słonecznego, musimy stawić czoła warunkom panującym na tych planetach, najlepiej jak tylko potrafimy. Zmiana całej planety, przekształcenie panujących na niej obecnie warunków, do takich które będą mogły wspierać życie ludzkie, typu jaki istnieje na Ziemi, jest niewykonalna ze względów finansowych. Człowiek jednak, ponieważ potrafi się adaptować, jest w stanie zmienić samego siebie. Zmodyfikować swoją konstrukcję zaledwie nieznacznie, tak by mógł przeżyć na tych planetach, jedynie przy minimalnych zmianach środowiskowych".

A więc, to dzięki nim musisz żyć na zewnątrz i pokochać to. Tak więc, w konsekwencji, to dzięki nim marzniesz, dusisz się i cierpisz.

Clayton nienawidził Marsa. Nienawidził serdecznie jego rozrzedzonej atmosfery i zimna. Najbardziej ze wszystkiego nienawidził zimna.

Ron Clayton pragnął wrócić do domu.

Budynek centrum rekreacyjnego był już tuż przed nim. W środku przynajmniej powinno być ciepło. Przecisnął się przez zewnętrzne i wewnętrzne drzwi i uderzyła go eksplozja dźwięków wydobywających się z grającej szafy. Żołądek zwinął się mu w ciasny węzeł.

Grała właśnie *Zielone Wzgórza Ziemi* Heinleina.

W pomieszczeniu poza muzyką nie było słychać niemal najlżejszego szmeru, pomimo tego, że było pełne ludzi. Cała masa kolonistów zarzekała się, że lubi Marsa, ale nawet oni kiedy grano tę piosenkę, zapadali w głuche milczenie.

Clayton miał ochotę podejść i rozwalić tę piekielną maszynę, spowodować, żeby przestała budzić wspomnienia. Zacisnął zęby, zwinął pięści w kułak i zaklął w myślach. *Boże, jak ja nienawidzę Marsa*!

Kiedy zamilkły już ostatnie dźwięki zapadającego w pamięć, sugestywnego nostalgicznego chóru, podszedł do maszyny i nakarmił ją dostatecznie dużą garścią monet, żeby zająć ją czymś innym, dopóki sobie stąd nie pójdzie.

W barze zamówił piwo i wykorzystał je do popicia kolejnej pastylki natleniającej. Piwo było niespecjalne, w zasadzie to nawet nie zasługiwało na to miano. Ciśnienie atmosferyczne było tak niskie, że wyparowywał z niego cały dwutlenek węgla, i jak dotąd browary nie znalazły żadnej metody na jego ponowne wprowadzenie do piwa, po procesie fermentacji.

Żałował tego co zrobił. Autentycznie i prawdziwie żałował. Gdyby tylko dali mu jeszcze jedną szansę, byłby porządnym człowiekiem. Jeszcze tylko jedną, jedyną szansę. Ciągle mógłby wyprostować swoje życie.

Podobne obietnice składał sobie również i wcześniej, kiedy go dwukrotnie złapano, ale wtedy okoliczności były zupełnie inne. Tak naprawdę, to nigdy nie dano mu drugiej szansy, z tymi zwolnieniami warunkowymi, kuratorami i całą resztą.

Clayton zamknął oczy i dokończył piwo. Zamówił kolejne.

Od piętnastu lat harował w kopalniach. To naprawdę to nawet nie chodziło o to, że nie znosił tej pracy, ale najgorszy w tym wszystkim był brygadzista. Zawsze urządzał mu piekło, zawsze miał dla niego najgorszą, najbardziej parszywą robotę.

Tak jak wtedy, kiedy zaszył się w jakiejś bocznej niszy w Tunelu 12, żeby uciąć sobie małą drzemkę podczas lunchu, i brygadzista złapał go na tym. Kiedy obiecywał mu, że nigdy więcej już tego nie zrobi, byle tylko nie zgłaszał tego w raporcie, ten facet powiedział:

– Taa, pewnie. Nie znoszę paprać ludziom w papierach.

A potem i tak złożył na Claytona raport. Najzwyklejsza świnia.

Nie to, żeby Claytonowi groziło za to wylanie z roboty. Nigdy nikogo stamtąd nie wyrzucali. Ale ukarali go grzywną wysokości jednej dniówki. Całej cholernej dniówki.

Odstawił pustą szklankę z trzaskiem na barze, i barman podsunął mu kolejne piwo. Clayton popatrzył na nie, a potem na barmana.

– To stawiasz ty.

Barman spojrzał na niego z kwaśną miną.

– Wiesz co, Clayton, mam tutaj trochę mydlin, i pewnego pięknego dnia, jeśli nie odpuścisz sobie tych dowcipasów, doleję ci ich do piwa.

Na tym polegał problem z niektórymi facetami. Kompletny brak poczucia humoru.

Ktoś właśnie wchodził do środka, a zaraz za nim wchodziła kolejna osoba, tak że w tej samej chwili, jednocześnie otwarte były wewnętrzne i zewnętrzne drzwi. W plecy Claytona buchnął jęzor lodowatego powietrza, tak że aż cały się wzdrygnął. Zbierał się już żeby coś powiedzieć, ale po chwili zmienił zdanie. Drzwi były już zamknięte, a poza tym jeden z tych facetów był jeszcze większy niż on.

Lodowaty chłód jednak nie zniknął tak szybko. Poczuł się jak w kopalni. Mały, stary Mars był zupełnie zimny, aż do samego jądra, a przynajmniej tak głęboko jak do tej pory udało się dokopać. Ściany budynku były zmrożone i wydawały się promieniować chłodem, wysysającym ciepło aż do szpiku kości.

Ktoś znowu puścił Zielone Wzgórza, niech je diabli. Najwidoczniej to co on wybrał skończyło się wcześniej, niż mu to się wydawało.

Do diabła! Nie miał tu już nic do roboty. Równie dobrze może pójść do domu.

– Daj mi jeszcze jedno piwo, Mac.

Zaraz jak tylko skończy pić, idzie do domu.

Stał tam przy barze, z zamkniętymi oczyma, słuchając muzyki i nienawidząc Marsa.

Jakiś głos w pobliżu powiedział:

– Poproszę whiskey.

Głos zabrzmiał, jakby człowiek był fatalnie przeziębiony, i Clayton powolutku obrócił się w jego stronę, aby mu się dokładniej przyjrzeć. Po tych wszystkich sterylizacjach, jakie przeszli zanim opuścili Ziemię, nikt na Marsie się łapał przeziębienia, a więc tylko jedna rzecz mogła spowodować, że głos człowieka będzie brzmiał w taki sposób.

Clayton miał rację. Facet miał do nosa mocno przyciśniętą rurę z tlenem. Nosił na sobie mundur Służby Transportu Kosmicznego.

– Prosto ze statku? – swobodnym tonem zagadnął Clayton.

Mężczyzna skinął głową i szeroko się uśmiechnął.

– Taaa. Za cztery godziny startujemy z powrotem. – Wysączył swoją whiskey. – Na zewnątrz pewnie zimno.

Clayton zgodził się z nim.

– Tutaj zawsze jest zimno.

Z zazdrością przyglądał się jak marynarz zamawia kolejną whiskey.

Claytona nie było stać na whiskey. Prawdopodobnie mógłby sobie na nią pozwolić, gdyby kopalnia zrobiła go brygadzistą, tak jak po tych wszystkich latach powinna.

Może uda mu się ugadać marynarza, tak by załapać się na kilka drinków.

– Nazywam się Clayton, Ron Clayton.

Kosmonauta uścisnął wyciągniętą dłoń.

– Ja nazywam się Parkinson, ale wszyscy mówią na mnie Parks.

– Pewnie, Parks. Hmm… postawić ci piwo?

Parks pokręcił przecząco głową.

– Nie, dzięki. Zacząłem już od whiskey. Może jednak ja postawię ci szklaneczkę?

– No cóż… dzięki. Pozwolisz jednak, że ja to zrobię.

Wypili w milczeniu, i Parks zamówił kolejne dwie.

– Od dawna tu jesteś? – spytał Parks.

– Od piętnastu lat. Piętnastu bardzo długich lat.

– Czy ty… hmmm…, to jest chciałem… – Parks nagle zaczął wyglądać na strasznie zmieszanego.

Clayton rzucił szybko okiem, czy barman jest poza zasięgiem głosu. Potem uśmiechnął się.

– Chciałeś powiedzieć, czy zostałem skazany? Nieee. Przyleciałem tutaj, bo chciałem. Ale… – Ściszył głos. – … nie powinniśmy o tym tak tu gadać. Sam przecież wiesz. – Machnął dookoła jedną ręką, wykonując gest obejmujący wszystkich pozostałych w pomieszczeniu.

Parks szybko rozejrzał się wokoło, poruszając jedynie oczyma.

– Taaa. Rozumiem – powiedział cichym głosem.

– To twój pierwszy rejs? – spytał Clayton.

– Pierwszy raz jestem na Marsie. Kupę czasu byłem na Lunie.

– Mocno ci dokucza niskie ciśnienie?

– Nie bardzo. Na statkach utrzymujemy je tylko na poziomie sześciu funtów. Pół na pół, hel i tlen. Jedyną rzeczą, jaka mi tutaj przeszkadza, to tlen. Albo raczej tlen, którego tu nie ma. – Aby podkreślić swój żart, wziął głęboki oddech przez przymocowaną do nosa rurę.

Clayton zacisnął zęby tak mocno, że aż zarysowały nu się wyraźnie mięśnie na boku szczęki.

Parks niczego nie zauważył.

– Wy, ludzie, musicie brać te pigułki, co nie?

– Taaa.

– Raz też je kiedyś musiałem brać. Czekałem na jakąś robotę na statku na Lunie. Ciągnik którym jechałem popsuł się jakieś osiemdziesiąt mil od Bazy Arystarcha, i musiałem wracać na piechotę — mając zbyt małe zapasy tlenu. No cóż, pomyślałem trochę…

Clayton przysłuchiwał się historii Parksa, okazując należyte skupienie i uwagę, ale słyszał już wiele podobnych opowieści. Ten temat „zaginięcia na Księżycu” i jego różnorodne wariacje, krążyły wśród ludzi już od czterdziestu lat. Od czasu do czasu, faktycznie się to komuś przytrafiało. Na tyle często, by podtrzymać obieg podobnych historii.

Ten gość miał kilka nowych grepsów, ale nie dosyć, by jego historia była naprawdę wartościowa.

– Chłopie – stwierdził Clayton, kiedy Parks zakończył swoją opowieść, – miałeś szczęście, że wyszedłeś z tego wszystkiego żywy.

Parks skinął głową, bardzo z siebie zadowolony, i kupił kolejną kolejkę drinków.

Coś podobnego przytrafiło się również mnie, parę lat temu – rozpoczął Clayton. – Jestem nadzorcą na trzeciej zmianie, w kopalniach Xanthe, ale w tym czasie, byłem jeszcze zwykłym brygadzistą. Pewnego dnia paru gości weszło w rozgałęziony tunel, żeby…

To była bardzo dobra historyjka. Clayton osobiście ją dla siebie wymyślił, a więc miał pewność, że Parks jej jeszcze nigdy nie słyszał. Była w niej trochę krwi, ale dokładnie we właściwych miejscach i proporcjach, z bardzo przyjemnym efektem na zakończenie.

–… a więc musiałem podtrzymywać te cholerne skały własnymi plecami, dopóki ekipa ratunkowa nie wyciągnęła pozostałych, przeczołgując się pomiędzy moimi nogami. W końcu udało im się znaleźć jakieś stalowe belki i znieść je na dół, tak by mogły przejąć moje obciążenie, i mogłem je puścić. Przez tydzień leżałem w szpitalu – zakończył.

Parks niewyraźnie przytakiwał głową. Clayton spojrzał na zegar wiszący nad barem i uświadomił sobie, że gadają tak już ponad godzinę. Parks kupił kolejną kolejkę.

Parks był cholernie sympatycznym facetem.

Jak stwierdził Clayton, z Parksem był tylko jeden problem. Zaczął mówić tak głośno, że barman omówił dalszej ich obsługi.

Barman stwierdził, że Clayton również stał się zbyt głośny, ale stało się tak tylko dlatego, że musiał mówić głośno, żeby Parks mógł go usłyszeć.

Clayton pomógł Parksowi nałożyć jego maskę, i wyszli na zewnątrz, na zimne nocne powietrze.

Parks zaczął śpiewać *Zielone Wzgórza*. Mniej więcej w połowie piosenki przerwał i zwrócił się do Claytona.

– Pochodzę z Indiany.

Clayton już wcześniej rozpoznał w nim Amerykanina, po akcencie.

– Indiana? To fajnie. Naprawdę fajnie.

– Jeśli już mówimy o zielonych wzgórzach, to w Indianie mamy naprawdę zielone wzgórza. Która godzina?

Clayton mu powiedział.

– Jezu Chryste! Nsz sztatek odlatuje za godzinę. Pszede fszystkim, chciałbym jeszcze napić szię drinka.

Clayton uświadomił sobie, że nie lubi Parksa. Ale może kupi jeszcze butelkę.

Sharkie Johnson pracował na stacji paliw, i nieźle zarabiał na boku, kradnąc alkohol, rozlewając go i sprzedając. Pomyślał sobie, że to naprawdę zabawne, nazywać to świństwo Marsjańskim Ginem.

Clayton zaproponował więc:

– Chodźmy do Sharkiego. On nam sprzeda butelczynę.

– OK. – odparł Parks. – Kupimy szobie butelkę. To jest własznie to, czego nam ptrzeba, butelka.

Do Sharkiego był całkiem niezły spacerek. Było tak obrzydliwie zimno, że nawet Parks zdawał się trochę wytrzeźwieć. Śmiał się jak opętany, kiedy Charlie zaczął śpiewać:

Idziemy sobie do Sharkiego
Żeby kupić dla Parksa coś mocniejszego!
Hej ho, hej ho, hej ho!

Różne rzeczy można powiedzieć o kilku drinkach, ale przynajmniej tak mocno się nie marzło. A w każdym razie, tak bardzo się tego nie czuło.

Kiedy doszli na miejsce, u Sharka ciągle paliło się światło. Clayton szepnął do Parksa:

– Ja wejdę. On mnie zna. Może niczego nie sprzedać, jeśli będzie kręcił się tam ktoś obcy. Masz osiem kredytów?

– Osiem kredytów? Pewnie, że mam. Chwileczkę, zaraz dam ci osiem kredytów.

Przez chwilę grzebał po kieszeniach swojej kurtki i wyciągnął portfel. Ręce w grubych rękawicach były nieco niezdarne, ale w końcu wyciągnął piątkę i trzy jednokredytówki, wręczając je Claytonowi.

– Zaczekaj tu, na zewnątrz – powiedział Clayton.

Wszedł przez zewnętrzne drzwi, i zapukał do wewnętrznych. Powinien poprosić o dziesięć kredytów. Sharkie zażąda jedynie piątaka, co pozwoli mu zostawić trzy kredyty dla siebie. Ale przecież mógłby mieć dziesiątkę, a być może nawet i więcej.

Kiedy wyszedł na dwór, z butelką w dłoni, Parks siedział na skale, cały się trzęsąc.

– Jezu Chryste! – powiedział. – Ale tu na dworze jest zimno. Chodźmy gdzieś, gdzie będzie ciepło.

– Jasne. Mam butelczynę. Chcesz się napić?

Parks wziął od niego butelkę, otworzył ją, i pociągnął solidny łyk.

– Uhu – odetchnął. – Całkiem gładko wchodzi.

Kiedy pił Clayton, Parks zawołał:

– Hej! Lepiej wracajmy na lądowisko! Wiem już! Moglibyśmy pójść do męskiej toalety i dokończyć tę butelkę, zanim statek wystartuje. To chyba niezły pomysł, co? Tam jest ciepło.

Ponownie ruszyli, idąc ulicą prowadzącą do portu kosmicznego.

– Tiaaa, jestem z Indiany. Z południowej części, z pszedmieści Bloomington – powiedział Parks. – Daj mi butelkę. Nie z Bloomington w Illinois, ale z Bloomington w Indianie. Tam naprawdę mieliśmy zielone fzgórza. – Napił się, a potem wręczył butelkę z powrotem Claytonowi. – Os-szobiście, nie rozumiem dlaczego ktoś miałby chcieć zostać na Marsie. Tutaj, jesteśmy praktycznie na równiku, niemal w szrodku lata, a jest zimniej nawet niż w samym piekle. Brrr!

– Jakbyś był mądry, wróciłbyś do domu, tam przynajmniej jest ciepło. W każdym razie, Mars nie został stworzony do tego, by żyli na nim ludzie. Nie rozumiem, jak możesz tutaj wytrzymać

W tej właśnie chwili, Clayton zdecydował, że naprawdę nienawidzi Parksa. I kiedy Parks dodał jeszcze:

– Dlaczego tak głupio robisz, przyjacielu? Dlaczego nie wracasz do domu?

Clayton strzelił go mocno w żołądek.

– A dlatego właśnie – powiedział Clayton, kiedy Parks zwinął się w pół.

Powtórzył to jeszcze raz, kopiąc go w głowę. A potem w żebra. Parks sapał głośno, zwijając się na ziemi, ale wkrótce znieruchomiał.

Wtedy Clayton zorientował się dlaczego. Kiedy stopa Claytona uderzyła go w głowę, Parksowi odpadła od nosa rurka maski.

Parks ciężko dyszał, ale nie mógł złapać dostatecznie dużej ilości tlenu.

W tym momencie, w głowie Rona Claytona załomotał Wspaniały Pomysł. Nikt nie będzie w stanie rozpoznać człowieka, mającego na nosie coś takiego. Pociągnął kolejny haust z butelki, i zaczął zdejmować z Parksa ubranie.

Mundur doskonale pasował na Claytona, podobnie również maska na nos. Rzucił własne ubranie na niemal nagie ciało Parksa, skorygował ustawienia niewielkiego zbiornika z tlenem, tak że gaz we właściwy sposób przepływał przez maskę, po raz pierwszy od piętnastu lat, wziął głęboki oddech dobrego powietrza, i ruszył w kierunku portu kosmicznego.

Wszedł do męskiej toalety w budynku portu, pociągnął łyka i zaczął przeszukiwać kieszenie munduru, usiłując znaleźć dokumenty Parksa. W końcu udało mu się to, i otworzył książeczkę. Zaczął czytać:

PARKINSON HERBERT J.
Steward II klasy, STK.

Powyżej było zdjęcie i komplet odcisków palców.

Clayton uśmiechnął się. Nigdy się nie zorientują, że to nie Parks wraca na statek.

Ponadto dobrze się składa, że Parks był stewardem. Pomocnikiem kucharza. To wręcz doskonale. Gdyby był mechanikiem w maszynowni, albo kimś podobnym do tego, załoga mogłaby się zastanawiać, dlaczego podczas startu nie ma go na służbie. Ale steward, to coś zupełnie innego.

Clayton siedział przez kilka minut, przeglądając dokumenty i popijając z butelki. Opróżnił ją tuż przedtem, zanim rzadkie powietrze przecięło wycie syren ostrzegawczych.

Clayton podniósł się, i wyszedł na dwór, kierując się w stronę statku.

– **O**budź się! Hej, ty! Obudź się!

Ktoś wymierzał mu kolejne policzki. Clayton otworzył oczy i przyglądał się, pochylonej nad nim, rozmazanej twarzy.

Z oddali doleciał inny głos.

– Kto to?

Rozmazana twarz odparła:

– Nie wiem. Spał za tymi skrzyniami. Chyba jest pijany.

Clayton nie był pijany — był chory. Głowa bolała go jak diabli. Gdzie on był, do diabła?

– Wstawaj, ty łajzo! No dalej, wstawaj!

Clayton podciągnął się, wczepiony w rękę mężczyzny. Wysiłek zupełnie go oszołomił i wywołał u niego mdłości.

Ten drugi człowiek powiedział:

– Weź go na dół, do izby chorych, Casey. Wpompuj w niego trochę tiaminy.

Clayton nie opierał się, kiedy poprowadzili go na dół, do ambulatorium. Próbował rozjaśnić sobie w głowie. Gdzie u licha był? Ostatniej nocy, musiał się solidnie urżnąć.

Pamiętał spotkanie z Parksem. I jak zostali wyrzuceni przez barmana. Ale co potem?

Ach, tak. Poszli po butelkę do Sharka. Dalszy ciąg, w większości wyparował. Pamiętał jakąś bójkę, czy coś takiego, ale to było wszystko co zarejestrował.

Lekarz w izbie chorych, dał mu dwa zastrzyki z podskórnego iniektora, w obie ręce, ale Clayton zignorował lekkie ukłucia.

– Gdzie ja jestem?

– Naprawdę oryginalne. Masz, weź to – wręczył Claytonowi kilka kapsułek i podał mu szklankę wody do popicia.

Kiedy w jego żołądku znalazła się woda, spowodowała natychmiastową reakcję.

– O, Jezu! – zawołał lekarz. – Niech ktoś przyniesie tu jakąś ścierę. Hej, ty łachudro, rzygaj do tego. – Na stole przed Claytonem postawił miskę.

Niemal całą godzinę zajęło im docucenie Claytona na tyle, by zdał sobie sprawę z tego co się dzieje, i gdzie się znajduje. Nawet wtedy był nadal solidnie pijany.

Całą historię wyprostował w końcu pierwszy oficer STK-52. Kiedy tylko Clayton został doprowadzony do porządku, doktor i oficer kwatermistrzostwa, który go znalazł, zabrali go na górę do kabiny pierwszego oficera.

– Sprawdzałem dzisiejszego ranka magazyny, i znalazłem tego człowieka. Spał, kompletnie pijany, za skrzyniami z ładunkiem.

– Był pijany, to prawda – potwierdził lekarz. – Znalazłem to w jego kieszeni. – Rzucił pierwszemu oficerowi dokumenty.

Pierwszy był młodym człowiekiem, nie miał więcej niż dwadzieścia osiem lat, ale jego szare oczy spoglądały twardym wzrokiem. Przejrzał dokumenty.

– Skąd masz dokumenty Parkinsona? I jego mundur?

Clayton ze zdziwieniem popatrzył w dół, na swoje ubranie.

– Nie wiem.

– *Nie wiesz*? A co to za odpowiedź, do diabła!

– No cóż, byłem wtedy pijany – defensywnym tonem powiedział Clayton. – Człowiek nie wie co robi, kiedy jest pijany. – Zmarszczył brwi, próbując się skoncentrować. Zdawał sobie sprawę, że będzie musiał wymyślić jakąś historyjkę.

– Mam wrażenie, że się założyliśmy. Założyłem się z nim, że uda mi się dostać na statek. Tak, pewnie, teraz już pamiętam. Właśnie tak to było. Założyłem się z nim, że uda mi się dostać na statek, i zamieniliśmy się ubraniami.

– A gdzie on teraz jest?

– W moim domu. Myślę, że odsypia to wszystko.

– Bez swojej maski tlenowej?

– Och, dałem mu za maskę moje tabletki natleniające.

Pierwszy pokręcił głową.

– W porządku, to brzmi jak numer, który mógłby wykręcić Parkinson. Będę musiał wszystko opisać, i kiedy wrócimy na Ziemię, przekazać cię w ręce władz. – Zmierzył wzrokiem Claytona. – Jak się nazywasz?

– Cartwright. Sam Cartwright – bez zmrużenia oka odparł Clayton.

– Ochotnik, czy kolonista - skazaniec?

– Ochotnik.

Pierwszy oficer przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, z niedowierzaniem w oczach.

W gruncie rzeczy, to jednak nie miało znaczenia. Ochotnik, czy więzień, nie było żadnego miejsca, do którego Clayton mógłby uciec. Z punktu widzenia oficera, uwięziony był na statku równie bezpiecznie, jak byłby na Marsie, albo w więzieniu na Ziemi.

Pierwszy sporządził wpis do dziennika pokładowego, a potem powiedział:

– No, dobrze. Brakuje nam jednego człowieka w kuchni. Chciałeś zająć miejsce Parkinsona, bratku, więc je masz — bez żadnej zapłaty. – Przerwał na chwilę.

– Zdajesz sobie oczywiście sprawę – rozważnie stwierdził, – że natychmiast zostaniesz odesłany z powrotem na Marsa. I będziesz musiał odpracować podróż w obie strony. Koszty zostaną potrącone z twojej płacy.

Clayton skinął potwierdzająco głową.

– Wiem o tym.

– Nie wiem, co jeszcze może się stać. Jeśli zostaniesz skazany, możesz stracić swój status ochotnika na Marsie. A od twojej płacy mogą zostać odjęte również różnego rodzaju grzywny.

– No cóż, to już wszystko, Cartwright. Możesz zgłosić się do Kissmana, do kuchni.

Pierwszy oficer wcisnął przycisk na biurku, i powiedział przez interkom.

– Kto miał dyżur przy śluzie powietrznej, kiedy wczoraj w nocy załoga wracała na pokład? Proszę przysłać go do mnie. Chcę sobie z nim trochę pogadać.

Potem oficer z kwatermistrzostwa wyprowadził Claytona za drzwi, i zabrał go do kuchni.

Silniki rakietowe statku napędzały go ze stałym przyśpieszeniem pięciuset centymetrów na sekundę kwadrat, popychając go nieustannie, coraz bliżej Ziemi, z siłą nieco powyżej połowy mocy napędu.

Tak prawdę mówiąc, to Clayton nie miał zbyt wiele do roboty. Pomagał wybierać składniki żywnościowe, które szły do automatów, a potem czyścił urządzenia po ugotowaniu każdego posiłku. Każdego dnia, raz na dzień, musiał je częściowo rozmontować, żeby dokonać gruntownego przeglądu.

I przez cały czas intensywnie myślał.

Parkinson musiał umrzeć, zdawał sobie z tego sprawę. To oznaczało komorę gazową. A nawet jeśli przeżył, to odeślą Claytona z powrotem na Marsa. Na szczęście, nie było możliwości by którakolwiek z planet skomunikowała się ze statkiem. Wystarczająco trudno było utrzymać wiązkę kierunkową wycelowaną w planetę, a nikt nawet nie próbował trafić w tak stosunkowo niewielki obiekt jak statek.

Ale do tej pory na Ziemi musiano już o wszystkim wiedzieć. Natychmiast po wylądowaniu statku zostanie schwytany. A najlepsze czego mógł się spodziewać, to powrót na Marsa.

Nie, na Boga! Nigdy już nie wróci na tę kulę zamrożonego błota! Chciał zostać na Ziemi, gdzie było ciepło i wygodnie, gdzie człowiek mógł żyć, w miejscu nadającym się do życia. Gdzie było mnóstwo powietrza do oddychania i mnóstwo wody do picia. Gdzie piwo smakowało jak piwo, a nie jak jakaś lura. Ziemia. Wspaniałe zielone wzgórza, do których nigdzie indziej, nie ma niczego podobnego.

Z wolna, całymi dniami, obmyślał swój plan. Obserwował, czekał, i sprawdzał każdy jego szczegół, tak aby się upewnić, że wszystko pójdzie dobrze. *Nie mogło* pójść źle. Nie chciał umierać, ani nie chciał wracać na Marsa.

Nikt na statku go nie lubił, nikt nie był w stanie postawić się w jego położeniu. Nie zrobił im nic złego, ale oni tak po prostu go nie lubili. Nie mógł zrozumieć dlaczego, próbował się przecież do nich przystosować. No cóż, jeśli oni nie są w stanie go polubić, do diabła z nimi wszystkimi.

Jeśli rzeczy ułożą się tak jak na to liczył, będą tego cholernie żałować.

Cały plan przygotował bardzo sprytnie. Kiedy nadszedł czas dokonania obrotu, udał gwałtowny atak choroby kosmicznej. Dzięki temu miał okazję do kradzieży z szafki z lekarstwami, butelki wodzianu chloru.

A wtedy, gdy pracował w kuchni, sporą część czasu spędził na ostrzeniu dużego, noża do krojenia mięsa.

Pewnego razu, kiedy miał czas wolny, udało mu się uszkodzić jedną z dwu szalup ratunkowych statku. Drugą pozostawił do swojego użytku.

Statek był już tylko osiem godzin od Ziemi, i ciągle redukował szybkość, kiedy Clayton rozpoczął realizację swojego planu ucieczki.

To wszystko poszło zaskakująco łatwo. Kiedy wszyscy myśleli, że śpi, zakradł się ze nożem w ręku do pomieszczeń maszynowni. Ostrożnie otworzył drzwi, zajrzał do środka i uśmiechnął się, cały rozanielony.

Inżynier i dwaj mechanicy leżeli kompletnie nieprzytomni, po wypiciu wodzianu chloru, w przyniesionej z kuchni kawie.

Szybkimi ruchami podbiegł do szafki z częściami zapasowymi, i zaczął metodycznie niszczyć wszystkie części zamienne do silników. Potem z zestawu ratunkowego wyjął trzy ładunki sygnałowe, ustawił je na pięć minut i starannie ułożył wokół obwodów sterujących napędu.

Popatrzył na trzech śpiących ludzi. A co, jeśli się obudzą, zanim wybuchną ładunki sygnałowe? Jednak nie chciał ich zabijać. Chciał, żeby wiedzieli co się stało, i kto tego wszystkiego dokonał.

Uśmiechnął się szeroko. Był na to sposób. Po prostu trzeba ich wyciągnąć na zewnątrz, a potem zablokować zamek u drzwi. Zabrał inżynierowi klucz, wsunął go do dziurki, przekręcił i odłamał wystającą część, pozostawiając resztę w zamku. Nikt nie byłby w stanie odblokować drzwi w czasie pozostałych do wybuchu czterech minut.

Potem pobiegł szybko klatką schodową, w stronę sprawnej szalupy ratunkowej.

Dotarł do niej kompletnie zasapany i niemal bez tchu, ale nikt po drodze go nie zatrzymał. Nikt go nawet nie widział.

Wsunął się do szalupy ratunkowej, wszystko przygotował, i czekał.

Ładunki sygnałowe nie miały dużej mocy. Służyły one przede wszystkim do wytworzenia rozbłysku, na tyle silnego, aby był on widoczny w kosmosie z odległości wielu tysięcy mil. Zawierały przede wszystkim fluor i magnez, które dawały mnóstwo światła — i ciepła.

Zupełnie nagle, zniknęło ciążenie. Niczego nie poczuł, ale wiedział, że ładunki musiały eksplodować. Uderzył w klawisz ODPALENIE na pulpicie sterującym łodzi ratunkowej i mały statek wystrzelił z boku większego.

Potem włączył napęd, ustawił na pół gie i obserwował pozostający coraz bardziej z tyłu STK-52. Statek przestał wytracać prędkość, a więc powinien minąć Ziemię i zdryfować w kosmos. Z drugiej strony, szalupa miała z wolna schodzić na dół, lądując w odległości kilkuset mil od portu kosmicznego w Utah, miejsca przeznaczenia STK-52.

Lądowanie szalupą ratunkową, było najtrudniejszą częścią całego manewru, ale zostały one tak zaprojektowane, by mogli nimi latać nawet początkujący. Na uproszczonym pulpicie sterującym wypisane były szczegółowe instrukcje.

Clayton studiował je przez chwilę, a następnie ustawił budzik by obudził go za siedem godzin, i odpłynął w sen.

Śnił o Indianie. Pełna była pięknych zielonych wzgórz, pokrytych liściastymi lasami, a Parkinson zaprosił go do domu swojej matki, na kurczaka i whiskey. I to wszystko zupełnie za darmo.

Cały sen przepojony był uspokajającą pewnością, że nigdy nie uda im się go złapać i odesłać z powrotem na Marsa. Kiedy STK-52 już się więcej nie pojawi, pomyślą sobie, że zginął razem z całą załogą. Nie będą go nawet szukać.

Kiedy zadzwonił budzik, Ziemia była już ogromną pocętkowaną kulą, rozpościerającą się pod statkiem. Clayton obserwował wskaźniki na pulpicie i zaczął wykonywać polecenia zamieszczone w instrukcji lądowania.

Nie był w tym zbyt dobry. Wskaźnik przyśpieszenia wskazywał coraz więcej i więcej, i czuł, że jedynie z najwyższym trudem jest w stanie przesunąć ręce na właściwe przyrządy sterujące.

Był już najwyżej piętnaście stóp nad ziemią, kiedy jego ręka ześlizgnęła się z dźwigni. Pozbawiony kontroli statek, przesunął się, skręcił i przewrócił się na bok, wybijając wielką dziurę w ścianie kabiny.

Clayton potrząsnął głową, i spróbował wstać w rozbitym wraku. Podniósł się na czworaka, oszołomiony, ale nietknięty i wciągnął głęboki oddech świeżego powietrza wlewającego się przez dziurę w ścianie.

Poczuł się po prostu, jak w domu.

Biuro Dochodzeń Kryminalnych
Kwatera Regionalna
Cheyenne, Wyoming
20 stycznia 2102

Do: Służba Transportu Kosmicznego
Temat: Szalupa nr 2, STK-52
Do wiadomości: Pan P.D. Latimer

Drogi Paulu,

Mam właśnie w ręku kopie twoich raportów w sprawie akcji ratunkowej załogi uszkodzonego STK-52. To naprawdę szczęśliwy zbieg okoliczności, że Księżycowa Stacja Radarowa była w stanie obliczyć ich orbitę.

Wkrótce zostanie wam przesłany szczegółowy oficjalny raport, ale w skrócie odbyło się to tak:

Jak już wiesz, szalupa wylądowała, albo raczej rozbiła się, kilka mil na północ od Cheyenne, ale z powodu warunków pogodowych, odnalezienie człowieka który ją pilotował było niemożliwe aż do dnia wczorajszego.

Został on zidentyfikowany jako Ronald Watkins Clayton, deportowany na Marsa piętnaście lat temu.

Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że piętnaście lat spędzonych w warunkach grawitacji Marsa, tak osłabiło jego mięśnie, że pod działaniem pełnej grawitacji ziemskiej, ledwie był w stanie się poruszać.

W tym stanie, zdołał jedynie odczołgać się mniej więcej sto jardów od rozbitej szalupy, zanim stracił przytomność.

No cóż, myślę że to wszystko wyjaśnia.

Mam nadzieję, że tam w górze, nie prześladują was takie silne burze śnieżne, jakich my tutaj doświadczamy.

John B. Remley
Kapitan, BDK

KONIEC